

Leokadia Hajdas z domu Różycka

W 1943 roku nas zabrali, ze wsi Waldzin przewieźli do Łodzi, tutaj byliśmy w więzieniu, czekaliśmy na transport 2 miesiące, później zabrali nas do pociągu, jechaliśmy w wagonach 2 klasy, miejsca były siedzące. Normalnie spanie było albo tam gdzie miejsce bagażowe albo tutaj na dole. Gdzie kto mógł się przytulić, to tak spał. I tak przez 2 tygodnie. Dawali nam marmoladę z buraków, mama w ogóle nie chciała jeść, nam dzieciakom dawała i my zjadaliśmy. Był przydział żywności na ten okres. Jechaliśmy przez Niemcy. Przy przekroczeniu granicy na Odrze we Frankfurcie wszystkich zebrali razem do kąpieli. Bo bali się, by nie przewieźć robactwa albo jakiś chorób zakaźnych. Odzież wzięli do dezynfekcji, a wszyscy razem nago do kąpieli, i dzieci i dorośli. To była normalna łaźnia, duży zbiornik na dole i prysznice poszczególne. Odzież, która przyszła była ciepła. Całe wieszaki ubrań zabrali i całe wieszaki potem oddali, jak się wyszło z kąpieli.

Nie było mężczyzn do pracy, tylko kobiety same i jeszcze z dzieckiem matka jechała. Byliśmy gromadką najbardziej nieproduktywną, zajechaliśmy do końca, to była Francja, za Paryżem jakieś 100 km. Tych, co byli bardziej silni, to do pracy Niemcy sobie wybierali, każdy gospodarz wybierał sobie, kogo chciał.

Tam była rola, mama poszła do pracy, siostra mamy pilnowała dziecko, brat mamy został do innego gospodarza przydzielony. A ja z mamą chodziłam w pole, więc robili wszystko, co się robi w gospodarstwie. Kiedy był okres pylenia buraków, to szła i robiła to i mnie zabierała też w to pole. Co ja mogłam zrobić jako dziecko cztero/pięcioletnie? Dla mnie to było, jak zabawa, szłam z mamą i pracowałam. Jeżeli był okres karmienia świń, to była grupa przydzielana, że trzeba było te świny karmić.

Tam dostaliśmy mieszkanie, które było zastępcze, później wybudowano drewniane baraki na podwyższeniu i nas w te baraki przeprowadzili. Były dwa łóżka do spania. Całą grupę, którą dowieźli do końca. Otrzymaliśmy kartki żywnościowe, gdzie raz w tygodniu siostra mamy szła 3 km do sklepu, żeby coś kupić. Natomiast pieczywo było dowożone do mieszkań. Kartkę się napisało do tego, który przywoził, zostawiał to, co jest, bo w domu nikogo nie było. Bo nic nie było zamykane, bo nikt nic nie miał, nikt nic ze sobą nie mógł zabrać, tyle, co mógł w rękę wziąć.

Nie narzekamy na żywienie, bo żywienie było na te kartki i to nawet czekolada była na dzieci przyznana. Ale ciężko było... Praca od rana do nocy tam była, można było sobie chować jakiś drób, można było zabić, a jajka wziąć dla siebie. Wojsko amerykańskie gdzieś niedaleko stacjonowało, a od nich można było kupić za bimber koce, bieliznę pościelową. Polacy produkowali całe beczki, jeden do drugiego przenosił i wszyscy tym bimbrem handlowali. Ani za co kupić, ani gdzie kupić.

Pamiętam samolot, który się palił, amerykański. Spadł na pole, ten lotnik był taki spalony, czarny leżał u kowala, zaraz w takim przedsiönku. A po 3 dniach po niego przyjechali, bo on przeżył to spalenie.

Daleko łąka była, to biegano się na te łąkę, tam konie się pasły, z dzieckiem francuskim się bawiłam, które tam było w osiedlu.

Już mama miała przygotowane papiery, żeby wyjechać do Belgii, bo pojechali z grupą do Paryża, żeby tam jakieś zakupy robić, bo tam w tym osiedlu nie było żadnego sklepu, a odzież trzeba było gdzieś jechać i kupić. I tam handlował Żyd, poznał się, że mama zna się

na materiale. Jak coś musiała uszyć, to wszystko uszyła w rękach, przecież żadnej maszyny nie było. zaproponował, że zabierze ją do Belgii do pracy. I już byliśmy przygotowani, że wyjedziemy, ten transport miał być po obiedzie, ale rano był transport do Polski i siostra bardzo płakała, że wszyscy jadą do Polski, a my do Belgii, no i z tym polskim transportem przyjechaliśmy. Z powrotem jak wracaliśmy to już wagonami bydłęcymi i to 2 tygodnie trwało, przez Czechosłowację nas wieźli. Dwa lata i trzy miesiące we Francji przebywałam.

I tutaj bagaż na dworcu Kaliskim, niedopilnowany był i ktoś ukradł, bo ja zostałam wtedy sama z moją ciotką, która była tylko 7 lat starsza ode mnie. Jak wróciłam 7 lat miałam, a ona też jak dziecko. Z dworca na wózek dwukółki to, co było wrzuciliśmy i u ciotki żeśmy się zakwaterowali.

Było mi trudno przyzwyczać się do języka polskiego, bo tam wszędzie język francuski. W marcu przyjechałam, we wrześniu poszłam do szkoły, nauka nie szła mi ciężko, ale musiałam przezwyciężyć gramatykę, te błędy w języku polskim się u mnie powtarzały, ciągle te braki wychodziły.